

VERSION POLONAISE ET THÈME

I : VERSION

– Ma pani tutaj doskonałe warunki do pracy, proszę spojrzeć – powiedziała do mnie tego dnia Dani, dyrektorka programu badań. Mówiła po angielsku z włoskim akcentem, choć rysy jej twarzy przywodziły na myśl raczej jakichś indiańskich, a może dalekowschodnich przodków. – Tu jest pani gabinet, nie musi pani nawet wychodzić na zewnątrz, żeby przyjść do pracy. – Uśmiechnęła się. Obok niej stał mężczyzna z wydatnym brzuchem, na którym opinała się kraciasta koszula. – Wiktor, szef programu.

Powiedziała, że niedaleko stąd biegnie szlak turystyczny i można bez większego wysiłku – to jakieś trzy godziny drogi – wejść na szczyt monumentalnej góry, która, widoczna zewsząd, wywołuje wrażenie, jakby się ciągle było na nizinach.

(...) Ogarnęło mnie zmęczenie, pewnie z powodu wysokości, na której się znalazłam, a może po prostu dlatego, że ostatnio niemal cały czas je odczuwałam. Poprosiłam o zaprowadzenie do pokoju, gdzie miałam mieszkać przez następne tygodnie. W moim stanie powinno się odpoczywać po południu. Zmęczenie dopadało mnie koło drugiej, robiłam się senna i ociężała. Miałam wtedy wrażenie, że dzień załamuje się, dostaje depresji i nie może się z niej podnieść do wieczora. Potem rusza opornie koło siódmej i utyka do północy.

Nie założyłam rodziny, nie zbudowałam domu, nie zasadziłam drzewa, cały mój czas poświęciłam pracy, nieustannym badaniom i przepuszczaniu ich przez skomplikowane statystyczne procedury, którym zawsze ufałam bardziej niż własnym zmysłom. Osiągnięciem mojego życia jest psychologiczny test, za którego pomocą można badać charaktery psychologiczne *in statu nascendi*, czyli takie, które jeszcze się nie wykrystalizowały, jeszcze nie umocniły w system, jakim jest dojrzała osobowość dorosłego człowieka. Mój Test Tendencji Rozwojowych zdobył szybko uznanie na całym świecie i był powszechnie stosowany. Za jego sprawą stałam się znana, zrobiłam profesurę i żyłam sobie spokojnie, nieustannie doskonaląc szczegóły procedur.

Olga Tokarczuk, „Góra Wszystkich Świętych”,
in : *Opowiadania bizarne*, Kraków, Wydawnictwo Literackie, pp. 158-160.

II : THÈME

Ça me fait quelque chose quand les jours s'allongent, que la lumière grandit et que le soleil se couche de plus en plus à l'ouest, au-dessus des collines, comme s'il allait faire le tour complet de l'horizon. Il y a du pollen dans l'air, des moucheron, beaucoup de choses minuscules qui tourbillonnent. J'ai l'impression que tout bouge et danse partout, dans le genre d'un tressaillement.

C'est la première fois que je sens cela. Il me semble que jusqu'à maintenant, ça ne m'était jamais arrivé. Pourtant j'étais contente à l'arrivée du printemps, mais je ne voyais pas les choses bouger. C'était comme cela, autrefois, à Nightingale. Ensuite, quand nous sommes venus en France, je n'avais pas besoin de m'arrêter pour voir danser le pollen et les moucheron, pour compter les étincelles de la mer. Je ne m'occupais plus de saisons.

C'était peut-être à cause de l'endroit où j'habitais, cette vieille maison silencieuse sur la colline des Baumettes, au-dessus du nuage laiteux de la ville. Elle s'appelait la Roseraie, mais on aurait mieux fait de l'appeler la maison aux acanthes, parce qu'elles avaient envahi tout le jardin. En tout cas, c'est ce que disait le Colonel.

Il y avait des terrasses abritées, de hautes fenêtres avec des volets gris perle, des tapis, des portes vitrées. Je n'avais jamais fait attention au luxe, parce que je vivais dans cette maison protégée comme dans un château. Je me souviens, quand nous sommes arrivés dans cette ville, après Nightingale, le Colonel m'avait emmenée en bas, dans les vieux quartiers autour du port. J'avais onze ans, et je n'avais jamais encore vu cela. J'avais très peur, enfin, ce n'était peut-être pas exactement de la peur, plutôt une sorte d'horreur, un sentiment de répulsion pour tout ce que je voyais dans cette ville basse, les ruelles étroites, sales, le linge suspendu entre les immeubles, les façades lépreuses, les portes qui ouvraient sur des escaliers noirs qui soufflaient une odeur froide de cave. Et les gens, surtout, tous ces gens qui marchaient, si nombreux, cette foule serrée, ces visages, ces regards, ces bruits de voix et ces cris, ces mains qui vous touchaient, qui vous frappaient. Ces gens étaient venus d'un autre monde, ils étaient si pauvres, ils semblaient surgir du fond des caves humides comme des grottes, leurs visages étaient tachés d'ombre.

Jean-Marie-Gustave Le Clézio, *Printemps* in : *Printemps et autres saisons*, 1989